

Medein (fragment powieści)

[ok. r. 1213]

Biegł razem z innymi półtruchtem wąską ścieżką, gdzie miejsca było ledwie na trzech obok siebie, a oni tłoczyli się jeszcze, popychali, ująć próbując daremnie ciosów drzewca, ściobnięcia rzemieniem, starając się uciec od miękkiego stukotu kopyt, czując niemal ciepłą parę z nozdry kudłatych mierzynów na plecach w ten chłodny już, zimowy prawie ranek. Wypchnięto go wkrótce ze środka biegnących i teraz coraz częściej wpadały nań ciemne kreseczki gałązek – leszczyna zostawiała krwią nabrzmiałe pręgi na twarzy, na ramionach, na szyi; raz po raz po oczach, po głowie biła miękką nibyłapą kiść choiny lub świerku, zostawiając poświatę ciemnej zieleni pod przymkniętymi powiekami. I znów kreseczki, zieleń, ciemno, kreseczki.

Zwolnili trochę, bo przesiek schodził w dół, krzewy się nieco rozstąpiły. Pod nogi wbiegły jeszcze białe płaty piachu – zarywali się w nim, grzęźli. Zrobiło się więcej miejsca, mierzyny poszły w bok: z jednej strony, z drugiej – przy każdym chłop wczepiony w grzywę, inny przy ogonie. Też grzęźli, przestali bić drzewcami, wymachiwać rzemieniem, patrzyli do przodu. Coraz więcej białych płatów piachu, na poboczu walały się karczce – zrobiło się stromo, w dole błysnęło srebro; migotało tam, połyskiwało, srebrzyło się. Konie chrapnęły, zbrojni puścili grzywy, jezdni poszli szybciej. Jeszcze białe płaty, węże splątanych korzeni przy karczach, coraz bardziej w dół, srebro migoce, pluszcze.

Nagle wysoki chłop przed nim skoczył przez pnie w bok, dopadł zbrojnego, pięścią przez łeb, potem w dół, wpada w srebro, w obłok rozpryskującego się srebra, za nim drugi, trzeci. Czwarły pada – drzewce stoi w plecach. A tam srebro się rozpryskuje. Z tyłu chrapliwy wrzask, tupot koni, lecq inni. Białe płaty, ciemne węże, srebro. Aż załamuje się wszystko w nagłym wstrząsie, w pchnięciu, głowa leci do tyłu, w nogi wplątały się węże, przelatuje wkoło zieleni, blade niebo, zieleń, ciemne plamy. I nie czuje, nie widzi już nic, padając ze stromizny w jamy po korzeniach drzew wyrwanych przez wodę. Odbił się jeszcze od powalonego pnia, przerzuciło go na drugą stronę w kupę zbitych olszyn. Naderwany brzeg jamy posypał z góry białym piaskiem.

Wprzód szelesty i szmery, potem coraz wyraźniej delikatny plusk nurtu i przygtuszony szum – czy to wiatr w gałęziach? Jaśniej też pod powiekami, tylko ciężko je ruszyć. Gdy wreszcie dało się otworzyć oczy, coś okazało się nie tak: głowa jakoś niżej, blask połyskliwie bije o źrenice, choć widoczny skrawek nieba jest blade, trochę jakby tęczą obwiedziony. I wszystko niepewne takie, rozdygotane, chybotliwe, płynne. Próba ruchu przywróciła pamięć ciała: odezwał się ostry ból w plecach, aż dech zaparło i do gardła – i tak ściśniętego – skoczył strach. Powieki same opadły na oczy – znieruchomiały. Powoli, powoli do środka, do wewnątrz, czerwonym strumieniem, wąską ścieżką

cieniutkich niteczek jak struny, trącić je – bólem grają, tu mniej, tu więcej, strumień się rozlał w bagno, obejść trzeba. To głupstwo, to się wessie samo, i to, i tamto; już te struny gładzone nie tak grają, ale szybciej, dalej, minąć tę szarą plamę, temu się później zaradzi. Trzeba w plecy, jeszcze niżej – no, właśnie! Tu się to zaczyna, mgłą zaciąga, tu gładzenie nie pomoże, tu się coś gorszego stało, ciemno, plama czarna – rozlał to, żywe, pulsujące, od kości. Sił już nie ma – może jakoś tylko zatrzymać? Wyjść już trzeba – jeszcze ta struna gra, wyjść, wyjść.

Trwało dobrą chwilę, zanim to, co widział teraz przymrużonymi oczyma wokół siebie przybrało bardziej zrozumiałe kształty innego i inaczej oglądanego widoku. Leżał najwidoczniej głową w dół na zboczu w zaroślach, niedaleko nurtu skaczącej po kamieniach wody, oddzielony od niej kępami wysokiej trawy. Na wprost, pomiędzy kępami, siedział stary, olbrzymi pień, szurpaty, mchem zielonym porośnięty, zwieńczony postrzępioną czapką połamanych gałązek i odrośli, guzami starych sęków pokryty, zwalisty, pochylony nieco, wparty w zbocze grubymi, pokręconymi korzeniami. Za nim horyzont zamykały czuby sosen na tle bladego nieba. Woda pluskała i mruczała na kamieniach.

Fala ciepła spłynęła mu na kark. W półomdleniu zdało mu się, że jest nad Gavią, wpatrzony w ptaka ze zwichniętym skrzydłem, którego trzyma na dłoni i którego tak mu żal. Zapachniało mokrą ziemią, zgniecioną trawą, Gavią szmerze na kamieniach. Matka pochylona nad nim też patrzy na ptaka, jej dłoń ciepła na karku. Nuciała coś przed chwilą...

Przez polany w ciemnym lesie
biała woda biegnie,
ziarna piasku nocą niesie,
kamień toczy we dnie...

Ptak wtedy poleciał. A woda cały czas pluszcze, gada. Kiście wysokich traw chwieją się leciutko, skaczą po nich odbłaski z płynącego nurtu. Karcz przysiadł na zboczu przykucnięty na dwóch grubych korzeniach, jak olbrzym na piętach. Na każdym z korzeni spoczywa inny jeszcze, cieńszy trochę, też pokręcony, stary, suchy. Sęk przy sęku, aż pod wierzch pnia, tam pod sękami wgłębienia, osłonięte porostem, jak krzaczastą brwią. Coś połyskuje we wgłębieniach, migoce. Odbłaski? Zaraz... – serce podchodzi pod gardło, skacze jak ta woda na kamieniach. Co? Nie... kto? Kto to...? Z gardła wyrwa się jęk przy gwałtownym ruchu, ból przesywa plecy, ciemno w oczach...

– Cicho, cicho, powolutku, *mażu broli*, zaraz zobaczymy, zaraz poładzimy; spokojnie braciszku, będzie dobrze.

To mruczenie jak woda pod korzeniami przy brzegu. Coś go dotyka – ktoś, czyjaś dłoń chyba; delikatnie, na karku, jedna ręka, sucha, ciepła, potem druga. Na ramionach, na nogach, na plecach. Zatrzymują się, gładzą lekko. Kto...? Mama...? Mama mówiła, opowiadała – ten pień?

– Dobrze, dobrze, zakleimy, zasklepimy, do snu ułożymy. Miodem pszczelim nakarmimy, sokiem kłukwy napoimy, liściem kłonu owiniemy. Przyjdzie zimą biała pościel, mały będzie u nas gościem. Przyjdzie wiosna, przyjdzie rosa, będzie po niej biegał boso...

Te ręce takie ciepłe. I tak dobrze się oddycha. Pachnie wilgoć. Mruczy woda.
Tam, gdzie nurt i gdzie zakola
biała woda biegnie;
na brzeg wyjdzie moja dola
pod wysokie jęgle.

Z szarej mgły milczenia, przez którą przepływały białawe kłęby szmerów i szeptów wytoniła się najpierw pamięć tego wrzasku, co jak olśniewające nici przeszył opary i mgłę. To było pierwsze – wrzask. Wpierw ten bojowy, męski, niski, tnący jaskrawo, w podbarwieniu czerwienią – chociaż przecież napastnicy nie nieśli pochodni, nie zażegli ognia, pewnie po to, by sąsiednich osiedli nie płoszyć zbyt wcześnie łuną. Potem między te nici czerwone wplotły się szybkie, przeraźliwą bielą tnące krzyki kobiet, aż wreszcie coraz bardziej zaczęła narastać w tle nieustająca tkanka siniego płaczu dzieci falująca jak piana na grzebieniach łoskotu, brzęku, tupotu, trzasków – zalewać całe pole nierozpoznany odgłosami niby to chrapania, sapania, charkotów, stękania, jęków, wycia, zawołań, okrzyków. Bo wielu coś krzychało, wołało – nie rozpoznać co: imiona czy przestrogi, czy tak po prostu, w strachu, w przerażeniu, rozpacz, upojeniu. A w tej coraz bardziej ogarniającej, falującej i kłębiącej się sinej przestrzeni dźwięków białe błyskawice wrzasków dziewczyn i kobiet, gęste, siekące, rozszczepione. Czerwień już tylko gdzieś niegdzie błyska – odzywa się jakby chrapliwie. Sina fala zalewa, błyskawice lecą, chrapie czerwień. Coraz mocniej, coraz bliżej, coraz natarczywiej. I jeszcze, i jeszcze – siność, biel, czerwień, biel, siność...

I cisza. Ciepło przechodzi falami. Trzaski jakieś delikatne, czy łopot słychać. Przepływają plamy, odbłaski. Szum jakby daleki.

Potem tylko obrazy. Kontury obwiedzione ostro, czarno, kilkakrotnie. W uszach nic – szum lekki. Tylko obrazy. I uczucie. Wyraźne, bolesne wbijanie się w stopy drobnego zwiru na krętej ścieżce ku Gavji, którądy matka ciągnęła go, gdy już wybiegli z chaty i skręcili za węgiel, za drugi. Ten zwir go ranił, bo biegł trochę poboczem, nadążając za matką – a nie tak, jak tędy zazwyczaj, środkiem, gdzie leżał drobny piach. Aż matka się potknęła, zwinęła, przypadła na kolano. Przyciągnęła go do siebie, chciała przygarnąć ramieniem – obróciło nim. Wtedy go zobaczył, tego na koniu – właśnie tak, w obwiedzionych konturach, ostro, wyraźnie: łeb konia poddarty cuglami, koń przysiadł na zadzie, twarz jeźdźca szeroka, wąsata; nad lewą brwią szeroka blizna; szłom z krótkim, żelaznym grzebieniem, na grzebieniu szpica do przodu siedzi; ręka w zamachu, sulica.

Tak wolno leci, tak wolno, umknąć – zda się – łatwo można.

Przez ten stały szum w uszach krzyk swój własny zaczyna słyszeć dopiero wtedy, gdy – poderwany jakąś siłą – puszcza rękę matki i widzi, jak jeździec wyrwa z jej piersi sulicę. I ten krzyk zamazuje obrazy.

I cisza. Przepływają tylko plamy, odbłaski. Szum jakby daleki. Powoli zapada szara mgła, płacząc się w niej białawe kłęby. Aż znowu mgłę przebije jaskrawą nicią wrzask.

Ze sto razy zanurzał się we mgłę. Ze sto razy wbijał mu się w pięty ostry zwir ścieżki.

Aż za którymś razem wychynął z tej mgły, czując, że jest cały mokry, że ktoś go wyciera suchym płótnem. Poblask ognia skakał po ścianach, trzaskalo płonące drzewo. Czyjeś ręce przysunęły mu do ust gliniany dzban. Pachniało ziołami i miodem. Oczy mu się same przymykały, łykał napój, ciepło po brodzie.

Wpierw budził się po to tylko, by przełknąć jedzenie, które mu podawano: ten napój, pachnący miodem, sup rybny, parę łyżek gęstej kaszy z kawałkami mięsa. W numie było ciemno; nie rozróżniał: noc to, czy dzień – po ścianach biegały odbłaski płomieni. Otwarty ogień pełgający pod okopconą ścianą na wprost łoża ściągał na siebie oczy, nie chciało się rozglądać po mrocznych kątach izby – świadomość pełgała, jak te płomienie. Co się stało? gdzie jest? Zasypiał. Budził się. Czyjeś ręce podawały gar, siorbał chciwie. Kobięcy głos coś mówił, raz bliżej, koło ucha, raz dalej. Zdało mu się, że rozumie piątę przez dziesiątę i zapominał zaraz to, co zrozumiał. Zasypiał. Znowu się budził, czyjeś ręce go podnosiły, sadzały na kubek, wypróżniał się z ulgą, głowa mu leciała na ramię olbrzymiego chłopca. Kto to? Skąd? Zapadał w sen, zanim jeszcze położono go z powrotem.

Aż kiedyś wreszcie przecknął się całkiem przytomny. W numie było widniej, choć na palenisku skakało tylko kilka niewielkich płomyków. Gdzieś za plecami musiały być otwarte dźwierze, bo zięb ciągnął stamtąd i światło dnia kładło się na czarny kopeć przeciwległej ściany. Wróciła pamięć, strach bólu. Przymknął oczy: jaskrawy wrzask, kłujący żwir w stopy... Nie! Potoczył głowę – co było potem? plecy? coś z plecami? Trzeba sprawdzić. Wejść. Zaraz.

Przebiec wzdłuż czerwonych strumieni, wzdłuż nitczek strun – teraz nie grają, uspokojone. Nie trącać. To najgorsze było dalej, do tyłu. Ostrożnie – gdzie to było? Aha, gdzieś tutaj; zostały ślady wkoła, mętne, szare jak płyty brudnego śniegu. Jeszcze nie tu, tu już nic, to przechodzi, przejdzie samo. O, tu jest słup, tutaj była katastrofa. Co to było? Gdzie? Oho... słup chyba był pęknięty, czy co? W tym miejscu jest jakby grubszy, zarośnięty, chropawy; wiszą jakieś frędzle, strzępki, ciemniej tu w ogóle. Trzeba by oczyścić – strzępki głupstwo, ale to zgrubienie? Tak nie może zostać, to duża robota, z tym będzie biedy a biedy! Wygląda, że zrosło. Mocno – hm, za mocno nawet.

Czas już wyjść. Powoli, nie śpieszyć się, w głowie kołuje. Powolutku – strun nie trącać. No, jesteśmy.

Leżał nieruchomo. Zmęczenie, jak po dniu biegania. Dobrze, już po strachu, wiadomo, co tam jest. Ale jak to było, kto go znalazł? Pamiętał: ten pień, ten karcz...? Głos z zaśpiewem? Matka kiedyś opowiadała o tym, o tym... jak się on zwał? Ale tutaj jest numa, ogień się pali, jacyś ludzie go karmili – a tamten, tamten to... kto? Kręciło mu się wszystko, może mu się ten karcz zwidział? W tym wahaniu, w tym przypominaniu zapadał powoli w sen.

Drugi raz obudził się pod dotknięciem dłoni na czole. Nachylała się nad nim twarz kobiety, włosy ogarnięte płótnem, promienie zmarszczek wokół oczu. Poznała wraz, że przytomny, zaczęła coś mówić śpiesznie, z uśmiechem, brwi podskoczyły na czoło. Z początku nic nie rozumiał – potem, powoli, niektóre słowa wydały się jakby znajome: *chłopiec...*,

rano..., chodź czy iść?...chłopiec..., rodzić, narodzić się? Chciał się podnieść, oparł się na łokciu, plecy jak rzemieniem ściągnięte, obudził się ćmiący ból. Opadł na postanie.

Kobieta plasnęła w ręce, potrząsnęła kilka razy głową:

– *silpnas...* – coś jeszcze; nie potrafiłby powtórzyć – ...*silpnas*.

Pogłaskała go po głowie, wstała, zakręciła się po izbie, wróciła z garnkiem, zapachniało supem. Och, tak; jeść, jeść.

Karmiła go wolno, sup był gorący, parzył wargi; tyżka skrobata po dnie, zagarniała kawałki mięsa – smakowało. Kobieta cały czas mówiła coś półgłosem, nie zważała, nie nasilał się rozumieć, oczami prowadził za jej ręką. Odblask płomieni padał na tyżkę, chodził po tej ręce, po ramieniu, pełgał po jej twarzy, szmer głosu wznosił się i opadał.

Przed nim zaszurano, zaskrzypiały dźwierze szerzej pchnięte. W świetle dnia stanął chłop wysoki, barczysty, ruda grzywa przycięta nierówno nad brwiami, nóż wetknięty za ramię na biodrach, topór w ręku. Kobieta podniosła głowę, zagadała znów szybko do wchodzącego. Ten odstawił topór pod ścianę koło paleniska, podszedł, nachylił się nad łożem, posłuchał, co kobieta doń trzepie – aż w końcu dłonią machnął, uciszając. Przypatrywał się chwilę leżącemu; poczekał, aż ten przełknie ostatnie kęsy. Kobieta wstała, gar zabrała. Olbrzym przysiadł w nogach postania, wymruczał coś nagle basem, co zabrzmiało jak pytanie. Przerwa – chłop patrzył wyczekująco. Namarszczył się, głos podniósł, znów coś pytał, teraz jakoś inaczej. Aż wreszcie wyszczerzył się szeroko – śmieje się czy co? Jeszcze coś gada, znowu inaczej. O, o! Teraz można zrozumieć.

– *Wo bist du?*

Zanim zebrał myśli, zanim zdecydował, co odpowiedzieć, padło następne pytanie, tym razem już całkiem zrozumiałe:

– Ktoś ty, chłopcze? Skąd jesteś?

Teraz pytający dojrzał pewnie radość w oczach chłopca, zamilkł, czekał...

– Ja z Wendekuli. Zwią mnie Skole – chłopiec zatrzymał się, zawahał.

Olbrzym wciąż zdawał się czekać, oczyma świdrował, marszczył czoło. Znowu się wyszczerzył.

– Nie bój się. My tu swoi, w puszczy głęboko. Nikt cię nie widział, nikt ci nic złego nie zrobi. Gdzie twój – ociec, matka?

– Ja sam...

– Sam? No, widzę. Sam leżałeś na ścieżce do źródła, ale sam tam nie przyszedłeś. Ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogłeś. Ani nie wiedziałeś, gdzie jest. Skąd się tam wziąłeś? Też nie wiesz?

– Nas gnali...rejza. Gavja...nie, nad jakimś strumieniem – uciekali. Upadłem.

Chłop jeszcze bardziej się namarszczył.

– Nad strumieniem, mówisz? Gdzie bród może?

– Nie wiem. Może.

– W plen was pędzili? To daleko, kawał drogi stąd. Jakżeś to doszedł?

– Nie wiem. Leżałem... nie mogłem... bolało... Ktoś był obok – taki stary, jak pień, zarośnięty. Mruczał coś, jakąś piosenkę.

– Z rejzy ktoś? Z twoich?

– Nie. Tam starych nie brali. Nigdy go przedtem nie widziałem.

Olbrzym milczał długą chwilę. Obejrzał się na kobietę, zamruczał coś do niej. I znowu do chłopca:

– Ociec, matka – też w plenie?

Skole ruszył głową przecząco. – Nie, ojciec dawno już... Zwierz w boru zadrapał. Miszka. A mama...

Jaskrawy wrzask się podnosi, lecą białe błyskawice, błyska czerwień, drobne ziarna piasku gryzą w stopy, łeb konia poddarty cugłami, koń przysiadł na zadzie, twarz... twarz... sulica... Chce krzyczeć, ale nie może, krztusi się. Ktoś go trzyma mocno, mocno, dłoń czyjaś na policzku, ktoś coś mówi cicho nad uchem, nie wiadomo, co mówi, trzaska ogień na palenisku. Trzyma powieki mocno zaciśnięte.

– No, dobrze już, dobrze – to znowu ten głęboki bas chłopca: – U nas ci bezpiecznie, nikt cię nie zgoni, nikt nie najdzie. Spać musisz, jeść, siły przyjdą. Potrzeba ci coś będzie, mów, dostaniesz. Leż sobie teraz, leż.

A więc leżał, bronił się od widziadeł, spał. Rano budził się wcześniej, przed świtem, wchodził sobie wiadomymi ścieżkami do środka, zagłębiał się w ciało wciąż nieruchawie, wciąż związane jakby tym bólem w dole pleców. Trzeba było oczyszczać, co zarosło, bo rzeczywiście zarosło tak, jakby kto gliną posmarował i wyschło, zatkało szczeliny, przycisnęło nitki czucia. Dziwne to było, leżał przecie w numie od niedawna, nie minęło wiele czasu, jak go znaleźli gdzieś tu – wedle jakiegoś źródła, powiadają. Skąd to tak szybko wyschło, zatkało? Jakby ktoś od środka... samo tak szybko by nie mogło! Optywał ten słup, oglądał wprzód ze stron wszystkich – pierwszy raz widział coś takiego, tak trudnego. Ale wiedział, co trzeba, ino trudno było. No, bo to coraz wyjść trzeba, żeby się tam nie zasiedzieć. Zostać można łatwo... jak się człowiek zapamięta, zwinąć się gotów do środka, kolana podciągnąć pod brodę... Aha, podciągnąć! Całe szczęście, teraz to niemożliwe, ten zarośnięty, sztywny słup nie pozwoli na to! Ale i tak, długo się tu nie popracuję, sił nie starcza, tchu brak, zaraz trzeba wychynąć. No, nic to, pomalutku, pomalutku. Jakoś tu sobie poradzimy.

Miesiąć to pewnie trwało jednak, zanim zaczął sam siadać. Z trudem, powoli. Agar podtykała mu pod plecy stopy skór, ale i tak z początku nie mógł wytrzymać długo na siedząco. Dopiero jak nogi zaczęły mu spuszczać z łoża, rozruszał się nieco i od tej chwili było coraz lepiej. Jednoręki olbrzym – Omend mu było, jak sam kiedyś chłopcu powiedział – ścigał spod powały suszone zioła, moczył je, zawijał w płótno, przykładał chłopcu na plecy. Kiedy indziej smarował mu plecy i nogi jakimś tłuszczem, masował stopy i łydki. Aż sam głową kręcił, że tak to dobrze idzie. Mówił, wojenne to sposoby, jak który woj z tynu grodowego zleci, można posmarować – a nuż pomoże? Jak koń kopnie w plecy, zioła przykładać dobra rzecz, ino trza wiedzieć które. Ot, gorzygrot wymieszać z pokruszoną skofojrzą – niektórzy zwą ją podorożnikiem – a można trochę dzięcielinę dodać. Inni dają gorzygrot z litworem. No, widzisz, mały, ja nie stąd – tu, jak komu coś, czy sił brak, czy w piersiach kłuje, czy w plecach, to szeptunów wołają. Jeśli zioła, to na gorącą wodę

rzucając, potem wywar piją. Też dobre, ale nie dla ciebie. Choć litwor z syconym miodem, żeby ból zabić, przed nocą, no, można, tak i napar z buziny. Też żeby moc wróciła – można.

Skole z przyjemnością poddawał się silnej ręce Omenda i z przyjemnością słuchał jego mowy w windi – mówił co prawda z akcentem, z przydechem, zastanawiał się czasem, wstawiał obce, nieznane słowa, jak te o ziołach, ale to było windi, to było tak, jakby słyszał kogoś z sąsiadów. Agar windi nie rozumiała, Skole dogadywał się z nią pomatu jej własnym językiem – nie wiedział jeszcze jak go zwać. Ale Skole pojmował szybko, co mówiła; podobnie to brzmiało do mowy przybyszów z osad na północy lub zachodzie, którzy często zjawiali się w Wendekuli.

Zanim chłopak zaczął chodzić – zrazu pomalutku, przy pomocy Omenda, który go przez plecy obejmował, potem sam, podpierając się kijem – nadeszła prawdziwa zima, nasypało śniegu po pas, nie było jak wyłazić z numy, chyba ino wydeptaną ścieżką do źródła, narzuciwszy na siebie przykrojoną przez Omenda baranicę. Strumyk od źródła płynący zamarzał, ale samo źródło nie, dopóki nie przyszły takie srogie mrozy, jakie Skole pamiętał jeszcze znad brzegów Gavji. Toteż wszyscy siedzieli w numie, przy ogniu, Omend tylko wychodził niekiedy nabrać śniegu do kubła, bo nie chciało mu się rąbać lodu wokół źródła. Raz na parę dni nadziewał na skórnie owalne siatki wyplatane podwójnie z tyka i wyruszał w las, by poszukać zwierzka. Mimo że w numie było dość suszonego mięsiva i wytopionego tłuszczu, po kilku dobach takiego jada ludziom chciało się soczystej pieczeni.

Kiedyś Omend wrócił niebywale szybko, dźwigając olbrzymie płyty sprawionej tuszy łosia. Musiał jeszcze kilkakrotnie wracać do lasu, aby znieść całą zdobycz i uratować ją przed drobnymi drapieżkami; nocą niechybnie rozwlokłyby mięso wilki. Siedząc wieczorem przy ogniu, Omend nie mógł się nadziwić przypadkowi.

– Byłem już prawie przy tym drugim źródle, kiedy go posłyszałem. Nosiło go widać na boki i ledwo się włócił, bo łamał krze, tupał, objął się łopatami o pnie. Jakby stado szło! Nigdy mi się coś takiego nie wydarzyło! Czekałem co wyjdzie na brzeg; no, i ledwie wyszedł, ledwie z krzaków się wyłamał, już padł na kolana, łbem się podparł i nawet nie musiałem dobijać. Padł w tym samym miejscu, w którym ciebie wtedy znalazłem. Niósł cztery grotty z kusz, wszystkie blisko obok siebie, wszystkie wokół serca. Jak on taki szmat puszczy przeszedł z tymi grotami w sercu, nie wyrozumiem! Przecie potem przeszedłem jego tropem aż hen, na drugą stronę oparzelisk za jeziorem. I nikogo, jeno już gronostaj i łasice krew zwąchały, a lisa widziałem na skarpie koło jeziora.

Zamilkł na chwilę, wciąż kręcąc głową i prychnąwszy przez nos. Spojrzał na Agar, spojrział na chłopca, ale oczy miał dalekie, niewidzące.

– Ktokolwiek go przecie postrzelił, a musiało ich być przynajmniej dwóch, nie zostawiliby zwierzka trafionego, poszliby w ślad. Na oparzeliskach, no, może by się bali bagna, może by nie wiedzieli, jak szerokie, pomyśleliby – nie warto obchodzić. Ale po drugiej stronie bagien trop był wyraźny, trudno by go było zatrzeć, byk broczył srogo i nikt za nim tam nie dotarł. Nie pojmuję, dlaczego?

Agar powiedziała coś szybko, Skole nie zrozumiał. Omend skrzywił się, potrząsnął głową przecząco.

– Nie, nikt tu takich wielkich łowów nie robi. Bo i kto? On musiał wyjść na nich sam, z zaskoczenia, może spłoszony. Posłyszeli, kusze naciągnęli, wyszedł pewno z gąszczu łbem na wprost, zoczył ich, chciał obejść, bokiem się obrócić, a było blisko, groty siedziały po biał, trafili, naciągnęli raz drugi, dosięgli go po paru krokach... Ino dlaczego nie poszli śladem?

Nawet w nocy Omend nie mógł pozbyć się myśli o zdarzeniu. Wiercił się na postaniu, sapał, stękał. Jeszcze ciemno było całkiem, a już się kokosił, szurał po numie, szycował do drogi. Wyszedł przed świtanem.

Podając rano chłopcu polewkę Agar przysiadła na ławie, roześmiała się.

– Niczego nie najdzie. Niczego nie pojmie. A przecie sam powiedział: łos padł w tym miejscu, gdzie ciebie przedtem naszedł! Też nie mógł zrozumieć, jakżeś sam mógł aż od brodu tu dotrzeć, ani kto miałby cię przynieść i zostawić. Też chodził, szlakował, w głowę zachodził. I teraz – też nalazł. W tym samym miejscu. Nie może pojąć, że skoro leśny ciebie na syna nam ofiarował, to i świeże mięso może pod dzwierzę numy rzucić.

– Leśny? Co mówicie? Jaki leśny?

– No, leśny bóg. Medein.

Chłopca aż poderwało, na nogi się podniósł z pniaka.

– No, jakże! Jakże...! Pamiętam, pamiętam... Matka mówiła, mama opowiadała o Medeinie! Jak zobaczyłem ten karcz... nie karcz, tego starego... coś mi się przypomniało, zdawało się, że go rozpoznaję. Z opowieści poznaję... On coś mówił, coś śpiewał. Dotknął mnie, czy jak? Zaraz, nic nie pamiętam. Jak to było? Co on mruczał?

Agar wzięła chłopca za ręce.

– Spokojnie, Skole. Siadaj, spokojnie. No, powiadaj.

– Nic więcej nie wiem. Dotykał mnie... ale potem? Nie pamiętam. Zdało mi się później, że to zwidy były. Mówicie, przyniósł mnie tu? Medein! Skąd wiecie, że to on?

– A któż by? Omend dwa dni chodził, tropu szukał, nic nie nalazł. Człek by ślady zostawił. A my za synem tużyli... ach, jak tużyli! Medein wiedział, on wszystko wie... To ciebie i przyniósł, nam na radość, tobie na poratowanie.

– Jakbym we śnie widział... ten karcz. Nie karcz! To był Medein? Jakże to. Mówicie, przyniósł. Omend mówił, że z daleka? On przecie stary. Nie... a żesz... głupoty jakieś! To Medein przecie – leśny bóg! Jeśli to on – matka mówiła, on wszystko może. Wierzycie, że to on?

– Ino Omendowi tego nie powtarzaj. On nie chce wierzyć, choć nie rozumie, co się stało. Jak z tym łosiem.

– Zaś będę powtarzał! Nie wierzy, to nie! Ale przecie jestem, sam tu nie przyjechałem, ruszyć się dotąd z łóża nie mogłem. Medein, mówicie? No, chyba tylko Medein!